Najpiękniejsza powieść o miłości

PO PROSTU BĄDŹ



MAGDALENA WITKIEWICZ

flow

PO PROSTU BĄDŹ

MAGDALENA
WITKIEWICZ

PO PROSTU BĄDŹ

flow

Projekt okładki:
Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN – www.panczakiewicz.pl
W projekcie okładki wykorzystano ilustracje:
Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN – www.panczakiewicz.pl

Ilustracje w książce:
Marek Piwnicki, Rok Romih, Trace Hudson / pexels.com; ilustracje z okładki

Redakcja:
Anna Żochowska

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej:
Andrzej Lademann / komart.com.pl

Korekta:
Agnieszka Włoka, Karolina Tuszyńska

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych. Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie I w tej edycji, Gdańsk 2026

Copyright © 2026 by Magdalena Witkiewicz
Copyright © 2026 by Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-8364-252-9 (wersja z barwionymi brzegami)
ISBN 978-83-8364-238-3

Druk i oprawa:
Zapolex Sp. z o.o.

flow

Wydawnictwo FLOW Sp. z o.o.
ul. Potokowa 2/3, 80-283 Gdańsk
wydawnictwoflow.pl

PROLOG

But we could come to an arrangement
A practical arrangement
And perhaps you'd learn to love me
Given time

It may not be the romance
That you had in mind
But you could learn to love me
Given time

Sting, „Practical Arrangement"

– Wyjdź za mnie… – powiedział nagle. – Nie proszę, żebyś mnie kochała… Chociaż może z czasem znajdziemy razem szczęście? Sam zastanawiam się, czy to jest możliwe. – Wzruszył ramionami. – Prawdopodobnie nie…

Ujął moją dłoń i przymknął zasmucone oczy.

– Zamieszkajmy razem, zaopiekuję się wami. Tak będzie łatwiej. Pola, stwórzmy dom. Ciepły, bezpieczny. Nie musimy nawet spać w jednym łóżku. To nie o to chodzi…

Zajmę osobny pokój. Wiem, że nie jestem idealny, że wymarzyłaś sobie życie zupełnie inaczej, ale proponuję ci pewien układ. Mogłabyś trochę odpocząć od kłopotów, od tego całego bałaganu. A może z czasem mnie pokochasz… Życie jest zbyt krótkie, żeby przejść przez nie samotnie. Proszę, po prostu bądź.

CZĘŚĆ 1

Przedtem





ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jakoś sobie radę dam

Jakoś sobie radę dam
Już nie w takich człowiek był kłopotach
I tym razem jakoś się wymotam
Jakoś sobie radę dam
Ty się martw o siebie sam
Idzie zima, a ty bez szalika
Tym się martw, a nie tym, że ja znikam
Jakoś sobie radę dam

Ewa Bem, „Jakoś sobie radę dam”

– Paulino! – Mina ojca nie wróżyła niczego dobrego. – Jakie, do cholery, studia? O czym ty mówisz? Rachować możesz i bez studiów! Po kiego ci studia do dojenia krów?

Tata nigdy nie przeklinał. Przynajmniej dotąd nie słyszałam. Ale też do tej pory nie widziałam go tak wzburzonego. Tym razem nie wytrzymał. Zaliczał się do tych osób, które trzymają nerwy i słowa na wodzy. Jakiekolwiek słowa.

Nie należał do ludzi wylewnych, szczególnie w pochlebstwach. Bo i za co miał mnie chwalić? Za to, że chcę wyjechać na studia, uciec ze wsi – miejsca, gdzie on spędził całe życie? I gdzie miał wobec mnie daleko idące plany? Gdyż tata wymyślił już dla mnie przyszłość – czterdzieści hektarów urodzajnej ziemi. Wielkie gospodarstwo. Pięćdziesiąt krów, z czego trzydzieści dojnych. Kilka kur, koty, psy… Było co u nas robić.

Moje siostry miały to szczęście, że mogły decydować o swoim losie. Zupełnie nie skorzystały z tej szansy.

Magda mieszkała dwie wioski dalej, z mężem, który najbardziej lubił z piwem w dłoni wystawać pod pobliskim sklepem. Oprócz picia lubił robić dzieci – niestety bardziej niż potem pracować na nie i je wychowywać. Nie wiem, czy Magda lubiła rodzić, ale nie miała wyjścia. Urodziła już czwórkę. A jej mąż chyba nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Moja siostra wyglądała na starszą od naszej mamy…

Z dzieciakami Magdy byliśmy w tym samym wieku, ale nie spotykaliśmy się często. Wydaje mi się, że wstydziły się ojca, poza tym miały siebie, znały swoje problemy i nie chciały dopuszczać innych do tajemnic rodzinnych. Nawet własnej ciotki, która była ich rówieśniczką.

Agnieszka wyjechała do Irlandii, jak wiele osób z naszej okolicy. Z oczywistych względów z nią widywaliśmy się jeszcze rzadziej niż z Magdą. Rodzice w ogóle nie brali pod uwagę tego, że mogliby gdzieś polecieć samolotem. Agnieszka sprzątała irlandzkie szpitale i jak na polskie warunki zarabiała świetnie, ale wolała spędzać wakacje w ciepłych krajach, niż przylatywać do Polski i rodzinnego domu. Teraz jej domem była Zielona Wyspa.

– Tutaj jest tak mało słońca – mówiła. – A w Polsce pogoda niepewna… Ja bardzo potrzebuję słońca.

– Mało szłońce. My poszebowas czeplo – dodawał jej irlandzki mąż.

Wielokrotnie proponowała rodzicom wspólny wyjazd do Hiszpanii czy do Włoch. Już zapomniała, że to praktycznie nierealne. Gospodarstwo to nie firma, gdzie zamykasz drzwi na klucz, wychodzisz i zapominasz o wszystkim. To nie biznes, który za pomocą laptopa i dostępu do sieci możesz kontrolować z każdego zakątka świata. Tabletem krowy nie wydoisz…

Agnieszka wypoczywała zatem na hiszpańskich wyspach, a ja biegałam beztrosko po ukwieconych łąkach, które dla mnie były całym światem.

W przeciwieństwie do moich sióstr nie mogłam decydować o swojej przyszłości. Moje życie zaplanowano już w dniu moich narodzin. Od zawsze było wiadomo, że przejmę gospodarstwo. A ja nie miałam nic przeciwko temu. Było tam tak pięknie! Uciekałam z blokiem i ołówkiem na wzgórza, siadałam na trawie i rysowałam to piękno. Nie narzekałam na to, co zaplanowali dla mnie rodzice, bo jak można narzekać na ziemniaki, jeżeli w życiu nie próbowało się niczego innego? Nie znałam innego świata. Moi rodzice też nie. Nie lubili wyjeżdżać, o nocowaniu poza domem w ogóle nie było mowy. Najdalej jeździli do pobliskich miast – Gdańska lub Słupska. Ale tylko wtedy, gdy naprawdę byli do tego zmuszeni. Dlatego też zupełnie nie rozumieli Agnieszki, która wybrała życie tak daleko od nich.

– Po co się stąd ruszać, skoro tutaj mamy tak pięknie? – pytała wtedy mama. – Zarobić też można. Jak się chce,

to ma się robotę. Na wszystko wystarczy. A w razie czego jeść przecież ci damy.

Ale moja siostra wyjechała. Wyjechała już dawno. Potem poznała Patricka O'Leary'ego. Dla przyjaciół: „Paddy". Wersja oficjalna brzmi tak, że poznali się na koncercie. Nieoficjalna i prawdziwa jest taka, że moja siostra po dniu ciężkiej pracy poszła do pubu napić się ciemnego piwa. Paddy tam śpiewał i grał. I sobie ją w końcu wyśpiewał. Albo ona go wychodziła. Spodobała mu się długowłosa, długonoga i opalona blondynka. Klimat irlandzkiego pubu sprzyjał miłości. Tak przynajmniej mówiła. Ja, niestety, tę atmosferę znałam tylko z komedii romantycznych. Nie byłam jeszcze w Irlandii. Zawsze były pilniejsze wydatki i zajęcia…

Mieszkaliśmy w przepięknej okolicy. Dom moich rodziców z dwóch stron otaczał gęsty las. Należał do nas. Na północy ścieliły się pola uprawne. Gdy stawałam na wzgórzu, nie mogłam dostrzec ojca, który pracował gdzieś na skraju naszej ziemi. Mama musiała do niego dzwonić, by zawołać go na obiad. Tata opowiadał, że gdy jeszcze nie było telefonów, to co jakiś czas spoglądał w stronę domu, czy mama nie stoi tam w czerwonej sukience. Do tej pory podczas żniw czy wykopków zawsze ją zakłada. Może to tradycja? Moi rodzice nie należeli do szczególnie sentymentalnych. Ale byli zgodnym małżeństwem. Nie była to szalona miłość, raczej aranżowany związek, przyzwyczajenie do siebie i w końcu uczucie.

Zachodnia część działki graniczyła z jeziorem. Kiedyś opalałam się na miękkim żółtym piasku, jakby to była najbardziej ekskluzywna plaża. Z biegiem lat teren zarósł trawą.

Tuż nad brzegiem miał stanąć mój dom. Mój i mojego męża, który oczywiście powinien być rolnikiem. Najlepiej by było, gdyby rodzice znali go od kołyski. Mieli nawet takiego na oku. O dziesięć lat starszy ode mnie i o głowę niższy Adrian. To przez niego uciekłam, chociaż paradoksalnie sam mi w tym pomógł. Ale o tym potem.

Byłam późnym dzieckiem moich rodziców. Klasyczną wpadką. Chociaż oni nigdy tak by mnie nie nazwali. Przecież byłam niespodziewanym darem od Boga, zesłanym w nieoczekiwanym momencie. Wszyscy jednak wiedzieli, że Pan Bóg nieco spóźnił się z tym podarunkiem. Taki trochę przeterminowany prezent, bo mama w dniu moich narodzin miała czterdzieści jeden lat, tata był od niej o dwa lata starszy. Byli już dziadkami, bo Magda szybko postarała się o potomstwo.

Nikt mnie nie pytał o to, co chcę robić w życiu. Przecież rodzice od zawsze wiedzieli, co jest dla mnie najlepsze. Dlatego gdy nauczycielka matematyki w gimnazjum zapytała mnie o plany na przyszłość, byłam bardzo zaskoczona, że kogoś interesuje moje zdanie. W jakiejkolwiek sprawie. U nas w domu dzieci nie miały prawa głosu.

Gdy pani Konopnicka (zresztą też Maria) zadała mi to pytanie, wysłuchała cierpliwie opowieści o tym, że zostanę na wsi, żeby pomagać rodzicom, zmarszczyła czoło i nic nie powiedziała. Niedługo potem wysłała mnie natomiast na olimpiadę matematyczną. Na konkursy plastyczne sama się pchałam. Rodzice nie protestowali, bo przecież to, co robi nauczyciel, to rzecz święta i nie należy mu się przeciwstawiać. Zresztą nie wiedzieli za bardzo, co dzieje się u mnie w szkole. Nie interesowali się tym szczególnie. Dopóki nie

byli wzywani przez dyrektorkę, a ja przynosiłam na koniec roku dobre świadectwa, to nie warto było się szkołą przejmować. Ważne, bym wreszcie ją skończyła i mogła się zająć tym, co jest mi przeznaczone. Gospodarką.

Pani od matematyki była innego zdania. Twierdziła, że powinnam wykorzystać zdolności, które posiadam i absolutnie nie mogę ich zmarnować. Nawet kiedyś wyrwało jej się zdanie o „zapadłej wsi". Spojrzała na mnie wtedy przepraszająco. Tutaj wszyscy byli z „zapadłej wsi". Nawet ona. Choć mieszkała w przyszkolnym służbowym mieszkaniu, trzymała się od wszystkich mieszkańców z daleka. Mówili, że zadziera nosa. Panna, a raczej stara panna. Miała może trzydzieści pięć lat, żadnego mężczyzny przy boku ani w bliskiej, ani w dalekiej perspektywie. To my, uczniowie, byliśmy jej rodziną. Kochaliśmy ją.

Często po lekcjach chodziliśmy do niej. Zimą gasiliśmy światło, a ona na ścianie wyświetlała nam zdjęcia z projektora. Pokazywała nam inny, nieznany świat. Góry, których nikt z nas dotąd nie widział, olbrzymie wieżowce Nowego Jorku, stacje badawcze na Antarktydzie. Pokazała nam też zieloną Irlandię z lotu ptaka. To miejsce, w którym mieszkała moja siostra ze swoim irlandzkim Paddym, jej nowy dom. Namawiała mnie, bym to wszystko rysowała. Nawet czasem siadała naprzeciwko i prosiła, bym szkicowała jej portrety. Och, jaka była przy tym krytyczna! Nie musiała wyglądać pięknie. Chciała być prawdziwa. Dopiero później odkryłam, jaki miała w tym cel.

Czasem myślę, że to właśnie jej zawdzięczam nie tylko zamiłowanie do matematyki, ale też to, jakim jestem

człowiekiem. Sprawiała, że chciałam wciąż się rozwijać, iść do przodu. Czerpałam z życia pełnymi garściami. Do czasu… Ale o tym właśnie jest ta historia…

Olimpiady wtedy nie wygrałam, ale zakwalifikowałam się do pierwszej dziesiątki w Polsce. To był mój pierwszy sukces, a dla szkoły – prawdziwe święto. Rodzice zostali wezwani przez dyrektorkę.

– Znowu jakieś kłopoty – wycedziła przez zęby mama, odkładając słuchawkę telefonu.

Znowu? Czy kiedykolwiek były ze mną jakieś kłopoty?

Po powrocie ze szkoły nie dali mi poznać, że są ze mnie dumni. Ale później siedzieli długo w nocy, rozmawiając ze sobą. Następnego dnia na śniadanie mama usmażyła mi omlety. Mimo że to był piątek, a mama robiła je zawsze w sobotę. Cudowne puszyste omlety z konfiturą z truskawek, które zbierałam poprzedniego lata, a potem wspólnie z mamą zaprawiałam. Ten smak zawsze będzie kojarzył mi się z rodzinnym domem. Wielokrotnie próbowałam znaleźć takie w sklepie. Potem nawet sama je robiłam. Nigdy jednak nie były takie jak te mamy. Może to nie kwestia przepisu, a serca, które mama wkładała w te przetwory?

Po gimnazjum zdałam do liceum. Pani Konopnicka wezwała rodziców do siebie i przekonała ich do tego, żeby pozwolili mi się tam uczyć. Rodzice jednak wyraźnie zaznaczyli, że to będzie ostatni etap mojej edukacji. Oni nie mieli przecież matury, a radzili sobie doskonale. Czasem się zastanawiam, kim mogliby być, gdyby skończyli studia. Tata pięknie rysował. Kiedyś znalazłam u mamy w szufladzie jej portrety, które naszkicował. Jeszcze z czasów, gdy nie była

jego żoną. Tak dowiedziałam się, po kim odziedziczyłam ten talent. Zrozumiałam też, dlaczego zawsze, gdy rysowałam, przypatrywał mi się z uśmiechem.

Liceum było oddalone od naszej wsi o ponad dwadzieścia kilometrów. Za daleko, by jeździć rowerem. Co rano wsiadałam w pekaes i dojeżdżałam do szkoły. Zimą czasem zostawałam na noc u koleżanki. Śniegu bywało tak dużo, że autobusy nie kursowały. Po prostu wypadały z trasy, bo przez ogromne zaspy nic nie było w stanie dojechać do naszej wsi. Rodzice godzili się z tym, cóż innego mieli robić. Dla nich szkoła była wystarczającą fanaberią, więc noclegi u koleżanki nie budziły już zdziwienia. Oczywiście myślałam o internacie, ale w domu nie chcieli o tym słyszeć.

Rodzice Uli przygarnęli mnie, a ja bardzo dobrze się u nich czułam. To był zupełnie inny dom niż nasz. Regały pełne książek, ściany ozdobione obrazami. Czasem, gdy nikt nie widział, gładziłam palcami wypukłą fakturę obrazu olejnego wiszącego w korytarzu. Nazywałam go: „Droga do przyszłości". Kręta, nierówna polna droga, znikająca gdzieś za gęstym lasem. Prowadząca nie wiadomo, dokąd. Zupełnie jak nasze życie. Ja wtedy byłam pewna, że moje życie kończy się tuż za domem, gdzie stała mama w tej swojej czerwonej sukience, wołając nas na obiad. Jednak los miał wobec mnie inne plany. Kręte, czasem wyboiste, nie tak proste, jak mi się wydawało. Zupełnie jak ta droga z obrazu na ścianie tuż obok drzwi do pokoju Ulki. Ale wtedy jeszcze w ogóle o tym nie myślałam.

Dla Uli oczywiste było to, że pójdzie na studia. Nigdy nie przyszło jej nawet do głowy, że mogłoby być inaczej.

Ja zaczęłam się nad tym zastanawiać dopiero później. Chciałam się dalej uczyć. Olsztyn. Uniwersytet Warmińsko-Mazurski. Tak powiedziałam pani Konopnickiej, którą spotkałam, wracając z kościoła.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytała, mrużąc oczy.

– Tak. – Pokiwałam głową, zupełnie bez zastanowienia.

Pani Konopnicka zmarszczyła czoło.

– A politechnika? Może… architektura? – zapytała nagle.

– Politechnika? – Byłam zupełnie zaskoczona. Wcześniej w ogóle o tym nie myślałam. – Ja? Architektem?

– A dlaczego nie? Przecież jesteś młoda, zdolna. Paulinko, możesz wszystko! Pamiętaj, całe życie zależy tylko od jednej osoby. Od ciebie.

Słowa pani Konopnickiej zapadły mi głęboko w pamięć. Budziłam się z nimi i zasypiałam. Złożenie papierów na architekturę było spowodowane impulsem. Nie wierzyłam zbytnio w to, że mogłabym kiedyś narysować na papierze dom, w którym ktoś potem spędzałby swoje najpiękniejsze chwile w życiu. Nie wyobrażałam sobie, że ktoś miałby sugerować się moją opinią, jakie tapety ma położyć w swoim pokoju czy jak rozplanować kuchnię. Nawet o tym nie marzyłam. Wydawało mi się to zupełnie nierealne.

– Dlaczego masz się nie dostać? – zapytała mama Ulki. – Widziałam twoje rysunki, córka mi pokazywała. Powinnaś uwierzyć w siebie, dziewczyno.

Zatem uwierzyłam w siebie. I pomógł mi w tym nie kto inny, tylko Adrian, mój pierwszy chłopak. A w zasadzie nawet nie chłopak… Ten o głowę niższy. Ten, u którego boku miałam spędzić całe życie. Moi rodzice bardzo się cieszyli z tej znajomości i zupełnie świadomie pchali mnie w jego ramiona, przekonani, że on będzie tym na zawsze. Na dobre i na złe. Sama próbowałam to sobie wmówić i przez jakiś czas nawet mi się to udawało.





ROZDZIAŁ DRUGI

Czy ten pan i pani?

Czy ten pan i pani
są w sobie zakochani?
Czy ta pani tego pana chce?

Anna Wyszkoni, „Czy ten pan i pani?”

Po raz pierwszy całowałam się z nim nad jeziorem. Tam, gdzie kiedyś miał stanąć nasz dom. Wtedy w ogóle całowałam się pierwszy raz. Byłam ciekawa… Ciekawa tego pocałunku, pełnego emocji, romantycznych uniesień i przyspieszonego bicia serca. Ale było nijak. Było mokro i zupełnie niefajnie. Ukradkiem wytarłam sobie usta. Chciałam uciec i najlepiej nigdy więcej się z nim nie spotkać.

– Fatalnie całuję, co? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami. Nie miałam porównania. Fakt, nie było to cudowne przeżycie, ale może kiedyś będzie lepiej?

Adrian pokiwał głową.

– Przepraszam.

Miałam wrażenie, że on sam nie chciał mnie całować i zrobił to tylko dlatego, że tak wypadało. Bo od lat wmawiali mu, że będę jego żoną, i on w to uwierzył. Wszyscy się całowali. Wielokrotnie podglądaliśmy turystów, którzy zatrzymywali się nieopodal, szli na spacer ścieżkami okolicznych lasów i co chwilę zatrzymywali się, by tonąć w pocałunkach. Wydawało się nam wtedy, że to przyjemne. Było jednak inaczej.

– Może na razie poprzestańmy na trzymaniu się za ręce – stwierdził smutno Adrian.

Tak też zrobiliśmy. To była dziwna przyjaźń. Ale tylko przyjaźń. Adrian przytulał mnie, gdy tego potrzebowałam, zawsze mogłam go poprosić o przysługę, mogłam wypłakać się na jego ramieniu. Razem też spędzaliśmy czas nad jeziorem, prowadząc długie rozmowy.

Wtedy też powiedziałam mu o pomyśle pani Konopnickiej.

– Adrian… A gdybym poszła na studia?

– Na studia? – Zerwał się nagle i wypluł trawę, którą trzymał w zębach. – Gdzie ty chcesz iść na studia?

– Może to durny pomysł. – Wzruszyłam ramionami. – Nie mówmy o tym.

Oczywiście mówiliśmy. Rozmawialiśmy o tym cały wieczór. Powiedziałam mu o moich marzeniach. Nie o tych, które mieli moi rodzice, ale o tych, które obudziły się podczas rozmów z rodzicami Uli. I nie dotyczyły one czterdziestu hektarów urodzajnych pól oraz krów, z których każda miała imię.

– Może faktycznie trzeba robić to, o czym się marzy? – Zamyślił się, patrząc w niebo.

– A o czym ty marzysz? – zapytałam.

Roześmiał się wtedy nerwowo. Przez chwilę byłam pewna, że powie, iż myśli tylko o mnie. Bałam się tego, bo ja o nim jednak nie myślałam w ten sposób.

– O mnie nie marzysz? – zapytałam, siadając okrakiem na jego nogach.

Przytulił mnie mocno.

– Paulina… Nie. Nie marzę o tobie. Przynajmniej nie w ten sposób. – Odsunął mnie od siebie. – Kiedyś… Kiedyś ci opowiem… Nie jesteś zła na mnie?

– Adi! Ja jestem szczęśliwa! Bo… kocham cię jak brata, ale z tego nic by nie było…

On też kochał mnie jak siostrę. Tego byłam pewna.

– Dziękuję. Dziękuję, że jesteś. – Pocałował mnie w policzek. – Studia to doskonały pomysł. Wiem, że nie powinienem tak mówić, ale czasem myślę, że szkoda cię na wieś… – Odgarnął kosmyk włosów z mojego czoła. – Może kiedyś tutaj wrócisz. Ale tylko jeżeli sama będziesz tego chciała.

Kilka dni później przyszedł do mnie. Oczywiście, moi rodzice przywitali go wylewnie niczym przyszłego zięcia. Nie mieli nic przeciwko temu, że spędzał w moim pokoju na piętrze długie godziny. Nawet tam nie zaglądali. Przecież wszystko szło w dobrym kierunku, po ich myśli.

Przyniósł kolorową ulotkę.

– Kursy przygotowawcze do egzaminów na architekturę – przeczytałam. – Kursy? Ale to w Gdańsku. Zapomnij.

– Będę cię tam woził – oświadczył. – Marzenia trzeba spełniać. A jak już coś postanowisz, trzeba konsekwentnie iść w wyznaczonym kierunku. Pomogę ci.

– A jaki kierunek ty sobie obrałeś?

– Ja? Jak na razie kręcę się w miejscu. Nie potrafię zjechać z ronda.

– To w głowie ci się kręci – zażartowałam.

– Kręci – potwierdził.

– Adik… – zaczęłam cicho. – Jakieś problemy?

– Jak w życiu, kochana. Jak w życiu.

– Nie jesteś chyba ze mną do końca szczery…

– Niestety, nie jestem – przyznał. – Ale kiedyś się o wszystkim dowiesz.

Martwił mnie. Uważałam go za jedynego przyjaciela w moim świecie. I bardzo nie lubiłam, gdy patrzył przed siebie, gdzieś daleko, zupełnie pustym wzrokiem. Bardzo chciałam się dowiedzieć, czego tak wypatruje. Nie chciał się tym jednak ze mną dzielić. Nie nalegałam. Wiedziałam, że przyjdzie czas i na to.

Od września co sobotę woził mnie do Gdańska. Za każdym razem wymyślaliśmy jakiś inny pretekst, by tam pojechać. Urodziny koleżanki, wspólne zakupy. Potem wykręcałam się już nauką do matury u Ulki. Nawet było w tym trochę prawdy, przecież chodziłam na kurs przygotowawczy. Elementy historii sztuki, rysunek. Każda godzina z ołówkiem w ręku przybliżała mnie do realizacji moich marzeń.

– A jak się nie dostanę? – pytałam, malując profil Adriana, gdy któregoś dnia siedzieliśmy w moim pokoju.

– Dostaniesz się.

– Nie odzywaj się, bo zmieniasz wyraz twarzy – syknęłam.

– No to nie pytaj!

– Nie pytam. Tak tylko się zastanawiam – powiedziałam cicho. – Masz idealny nos do malowania. Taki wielki i garbaty.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, pewnie jego by mnie od razu uśmierciło. Nienawidził swojego garbatego nosa. A ja do tej pory myślę, że właśnie dzięki szkicom jego twarzy udało mi się dostać na studia.

Na egzamin też mnie zawiózł. Siedział kilka godzin na parkingu, w swoim starym oplu, i się denerwował. Chyba bardziej niż ja. Do tej pory zastanawiam się, jak udało nam się ukryć to zdenerwowanie przed naszymi rodzicami. Tylko raz mama spojrzała na mnie badawczo.

– Paulinko, wszystko w porządku?

– Tak, mamo.

Zmrużyła oczy, pokręciła głową. Potem słyszałam, jak w nocy długo rozmawiała z ojcem. Zastanawiali się, czy po ślubie będę mieszkać z nimi, czy powinni od razu budować dla mnie i Adriana dom nad jeziorem.

Jakim ślubie?!

Byłam dopiero w klasie maturalnej i w żadnym wypadku nie chciałam wtedy wyjść za mąż.



Informacja o tym, że dostałam się na architekturę, przyszła kilka dni po moich dziewiętnastych urodzinach. Leżeliśmy na kanapie i oglądaliśmy film. Nawet nie pamiętam, co to było. Listonosz przyniósł polecony. Nie lubiłam takich kopert. Zawsze gdy przychodziły, niosły ze sobą złe wiadomości. Zaległe opłaty, podwyżki cen… Tym razem było inaczej.

– Dostałam się! – Spojrzałam niepewnie na Adriana. – Od października studiuję!

Rzuciłam mu się na szyję i spontanicznie pocałowałam go w usta. Zaskoczony odsunął mnie od siebie.

– Nie pamiętasz, że fatalnie całuję? – Uśmiechnął się, widząc moją minę. – Gratulacje, Pola. Zawsze w ciebie wierzyłem!

– To dzięki tobie. – Niemalże skakałam na tej kanapie. – Gdyby nie ty, nigdy bym się nie dostała.

– Dałabyś radę.

– Adik… Jak ja powiem o tym rodzicom?

– Po prostu. Powiesz tak, jakbyś mi mówiła.

– Halo, mamo, wyjeżdżam na pięć lat do Gdańska. Tak, mamo, na nic twoje marzenia o córce w pobliżu, gromadce wnuków na własnym podwórku i męskich rękach do pomocy w polu – zaczęłam przedrzeźniać samą siebie. – Oni naprawdę myślą, że ja wyjdę za ciebie, Adik.

– Wiem. Ale to się nigdy nie wydarzy – powiedział stanowczo. – Znajdziesz sobie jakiegoś bogatego architekta i będziesz z nim szczęśliwa do końca swoich dni. Wychowasz mu czwórkę dzieci i będziecie mieli dwa psy. – Roześmiał się.

– Kocham cię, Adik. Jak brata. Dobrze, że jesteś.

Adrian pokiwał głową.

Gdyby to było takie proste. Chyba najtrudniejsze to być z kimś szczęśliwym do końca swoich dni. Fajnie byłoby mieć mapę z zaznaczonym miejscem, gdzie leży szczęście. Człowiek musi się bardzo namęczyć, by je znaleźć na mapie życia.

By wybrać właściwą drogę, minąć bagno łez, rozpaczy, przekopać się przez kamienie problemów i znaleźć przydrożną tabliczkę z napisem „Szczęście". W życiu nie ma GPS-u, który w momencie, gdy obierzemy niewłaściwą drogę, powie nam: „Zawróć, gdy to tylko możliwe".

Studia w Gdańsku były początkiem największego szczęścia. Szczęścia, które potem zgasło równie szybko i nagle jak rozbłysło… I stanowiło początek mojej historii.



CZY ODWAGA, BY PODĄŻAĆ ZA MARZENIAMI, WYSTARCZY, ABY ODMIENIĆ WŁASNY LOS?

Pola od dziecka słyszała, że jej życie zostało już zaplanowane. Rodzinne gospodarstwo, ciężka praca i obowiązki miały wyznaczyć jej przyszłość. Ona jednak marzy o architekturze i świecie większym niż ten, który zna.

Decyzja o wyjeździe do Gdańska staje się początkiem drogi pełnej wyrzeczeń, samotności i niełatwych wyborów. Z dala od domu Pola odkrywa, że marzenia mają swoją cenę, ale też poznaje ludzi, dzięki którym zaczyna wierzyć, że można zbudować życie na własnych zasadach.



Poruszająca opowieść o odwadze, pierwszych wielkich wyborach i sile marzeń, które potrafią zmienić nie tylko przyszłość, ale przede wszystkim nas samych.

W sprzedaży także:

ebook audiobook

Cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8364-238-3